

**Artur Jazdon**

Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu  
jazar@amu.edu.pl

## O bibliotece bez komputerów, ale z... czytelnikami!

**Streszczenie:** Tekst stanowi zbiór krótkich refleksji autora na temat funkcjonowania Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu przed 25–40 laty, tzn. od przełomu lat 70. i 80. do połowy lat 90. XX wieku. Był to schyłek ery „przedkomputerowej” w dziejach tej instytucji, która przygotowanie do wprowadzenia zintegrowanego systemu bibliotecznego rozpoczęła w połowie lat 90. W artykule nie została omówiona systemowo historia biblioteki w tym okresie, lecz kilkanaście problemów z zakresu jej organizacji, spraw kadrowych, zarządzania zasobami, procedur opracowania i udostępniania zbiorów, działalności informacyjno-dydaktycznej, elementów mechanizacji prac, aby – szczególnie młodszym adeptom zawodu – przybliżyć ówczesne realia pracy. Realia, w których biblioteka pracowała nie gorzej czy lepiej, bo nie ma sensu dokonywanie takich porównań, ale po prostu inaczej realizowała swe posłannictwo.

**Słowa kluczowe:** Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu, biblioteki uniwersyteckie, historia bibliotek, kultura organizacyjna bibliotek, obsługa użytkowników

Prowadząc zajęcia ze studentami specjalności bibliotekarskiej, ale także na studiach podyplomowych, często zadaję pytanie dotyczące katalogów centralnych. Bez wyjątku każdy z zapytanych zaczyna swą wypowiedź – mniej lub bardziej ubraną w słowa (coraz częściej niestety ten „ubiór” przypomina bikini, a nie szlachecki strój staropolski, co jest też wynikiem pośrednim szeroko rozumianej komputeryzacji naszego życia) – od wyjaśnienia, że idea ich prowadzenia pojawiła się wraz z wprowadzeniem komputeryzacji... Tak jakby katalogi owe nie funkcjonowały już bez mała na wieki przed wymyśleniem komputera! Tak – to pokazuje, jak szybko przystosowujemy się do tego, co nowe, nowoczesne, wygodne i jak szybko zapominamy (lub młodzi nie mogą uwierzyć), że kiedyś w bibliotekach nie było komputerów, a biblioteki działały. I to jak działały! Oczywiście nie jestem rzecznikiem powrotu do podstaw, czyli kopiowego ołówka i papierowego rewera, ale tak zaczęliśmy...

Gdy zostałem zatrudniony w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu z dniem 1 maja 1979 r., następnego dnia (pierwszy dzień pracy od razu miałem wolny!) stawić się musiałem do pracy na godzinę 7.00. Przed okienkiem portierni natknąłem się na tłumek niemały, wszyscy chcieli zdążyć z podpisaniem listy obecności przed wyznaczoną godziną. Tym bardziej, że na szczycie schodów stał już ówczesny dyrektor z dużym pękiem kluczy i dość ostentacyjnie potrząsając nimi, wskazywał, że właściwie czas rejestracji już minął. Spóźnieni musieli udać się do sekretariatu w celu podpisania listy, gdzie poza tą czynnością musieli dokonać jeszcze drugiej: wpisać do specjalnego zeszytu powód spóźnienia. Jak to budziło nas skutecznie z rana! Jak rozwijało naszą wyobraźnię! Nie można było przecież stale wpisywać jako powodu spóźnienia awarii komunikacji miejskiej. Nie kształci tak wyobraźni dzisiejsza elektroniczna rejestracja, w dodatku w warunkach ruchomego czasu pracy... Nie muszę dodawać, że przy okienku portierni jeszcze większy ścisk panował o 15.00, o której to godzinie opuszczaliśmy gmach, bez względu na godzinę przyścia.

Wchodząc do gmachu, należało bardzo uważnie spoglądać na mijane osoby, aby nie przeoczyć żadnej piastującej kierownicze stanowisko. A było to niełatwe, bo funkcje kierownicze (różnych szczebli) piastowało wówczas 46 spośród 170 bibliotekarzy! Tak, taką strukturę miała nasza organizacja, według oceny jednego z rektorów... rokokową. Dziś przy jej spłaszczeniu i likwidacji wielu jednostek organizacyjnych pracownicy mają pod tym względem łatwiej...

Każdy z nas marzył, by pracować na samodzielnym stanowisku pracy. Tak, posiadało się wówczas uprawnienia kierownika: samemu sobie można było zlecić zadanie, rozliczyć się i pochwalić za jego wykonanie. Nie muszę dodawać, że o usprawiedliwienie ewentualnych braków nie było na tym stanowisku trudno!

Ówczesny system pracy dawał nam też szansę pracy w każdą sobotę! Z jaką euforią przyjęto wprowadzenie jednej soboty wolnej... Później przyszło już zupełne rozpasanie: praca wyłącznie do piątku. Sobotnią pracę wielu wspomina nie tyle z uwagi na nadzwyczajne efekty merytoryczne (chęć zakończenia rozpoczętych spraw), ale z uwagi na rozchodzące się po gmachu zapachy, istniały bowiem oddziały, w których zwyczajem było wspólne przygotowywanie sałatki warzywnej. Nie spożywanie sałatek przygotowanych w domach czy zakupionych w garmazerni, ale wykonywanie ich (od podstaw!) na stanowisku pracy... To krojenie, siekanie, przyprawianie... Gdzie dziś do tych sałatek przerożnym, łatwo dostępnym fast foodom?

Wchodząc do gmachu, nikt nie napotykał na żadne bramki czy punkty informacyjne, których obsada „zaczepiała” interesantów. Formowały się tu za to dwie kolejki do agend umieszczonych w głębi korytarza, po prawej i lewej jego stronie. Po lewej, w pełnym rynsztunku tzn. w płaszczach i z torbami, ustawiali się chcący skorzystać z wypożyczalni. (Osoby pragnące udać się dalej, w głąb gmachu, musiały przeciskać się przez tworzących ową kolejkę). Do kolejki prawej karnie stawiali się wszyscy, bo prowadziła ona do serca biblioteki. Była nim... szatnia! Bez numerka z szatni nie było sensu wchodzić do czytelni, bo wskazywał on miejsce, które można było zająć. Taki uproszczony system rezerwacji miejsc! Kto żył w zgodzie z paniami szatniarkami, mógł liczyć na miejsce koło kaloryfera, co było ważne w okresie jesienno-zimowym, gdy niedomagający system grzewczy zatrzymywał się po dojściu do 14–15 stopni. A dodam, że były to czasy, gdy w szatni czekało się na numerki oznaczający zwolnienie miejsca w czytelni! W gmachu biblioteki był bowiem z reguły tłum czytelników (czytelnik, zdefiniuję dla młodszych, to w odróżnieniu od klienta biblioteki, osoba niekorzystająca wyłącznie z kserografów czy skanerów, ale studiująca samodzielnie w czytelni, robiąca notatki na starannie, według wskazanego na seminarium wzoru, przygotowanych formatkach). W kolejce po numerki stali także profesorowie, którzy mieli to ułatwienie, że mogli korzystać ze specjalnie dla nich urządzonej tzw. „profesorskiej czytelni” lub rezerwowanych miejsc w dwóch ostatnich rzędach Czytelni Ogólnej. Biada studentowi, który starał się poprawić swój status na uczelni poprzez nieuprawnione zajęcia tam stanowiska! Profesorowie korzystali z jeszcze jednego przywileju, jaki stanowiła realizacja ich rewersów w trybie ciągłym, natychmiastowym. Do dziś z nostalgią wspominamy profesorów pracujących do zamknięcia czytelni w Wigilię czy Wielką Sobotę, którzy ostatecznie zmuszeni do wyjścia urzędowymi godzinami jej zamknięcia, w nieśmiałym, przepraszającym geście wręczali dyżurnym i szatniarkom czekoladki na ostodę czasu wyczekiwania na ich wyjście...

W pozostałych czytelnich trzeba było czekać na każdą pełną godzinę, w której magazynier odbierał rewery. Nie należało mu wytykać ewentualnego spóźnienia, bo wówczas przynosił książki po godzinie, gdy przychodził po następne rewery! Uważać trzeba było też na to, by nie wypełnić rewery ołówkiem – taki nie był bowiem honorowany! Biada też cwaniaczkom czy nieuważnym, którzy na rewers wpisali więcej niż 4 sygnatury. Kolejne nie były sprawdzane. Wtajemniczeni wiedzieli, że w sytuacji, gdy katalog wskazuje posiadanie wielu egzemplarzy danego tytułu (wieloegzemplarzowość w ówczesnym gromadzeniu stanowiła normę!), należy na rewersie wpisywać sygnatury ostatnich egzemplarzy w katalogu. Niewtajemniczeni bowiem wpisywali te pierwsze, które z reguły były już wypożyczone! Ot, taka poufna instrukcja składania zamówień, przekazywana znajomym i członkom rodziny.

Wspominając powyżej o tłumie czytelników, potęgowanym w latach 90. gwałtownym rozwojem liczby studiujących, nie mogę nie przypomnieć wielu ówczesnych działań zmierzających do... ograniczenia liczby osób, które miały prawo ze zbiorów biblioteki korzystać w pełnym zakresie. Zniechęcając pewne grupy, chcieliśmy bowiem zapewnić możliwość lepszej obsługi tym uprawnionym. Zaczęły się na to nakładać prace związane z wdrożeniem komputeryzacji, którym towarzyszyły redukcje kadr. Wynikały one z dość powszechnego przekonania naszych władz, że pośrednim (o ile nie głównym!) efektem komputeryzacji biblioteki będzie redukcja kadr, bo przecież komputery ludzi zastąpią. Dziś pracowników mamy więcej niż w momencie wdrażania komputeryzacji, a część z nich zajęta jest wymyślaniem działań i ich promocją, które zapewnić mają przyście do biblioteki nie tylko stałych czy potencjalnych czytelników z grupy pracowników i studentów uczelni, ale każdego mieszkańca miasta czy regionu.

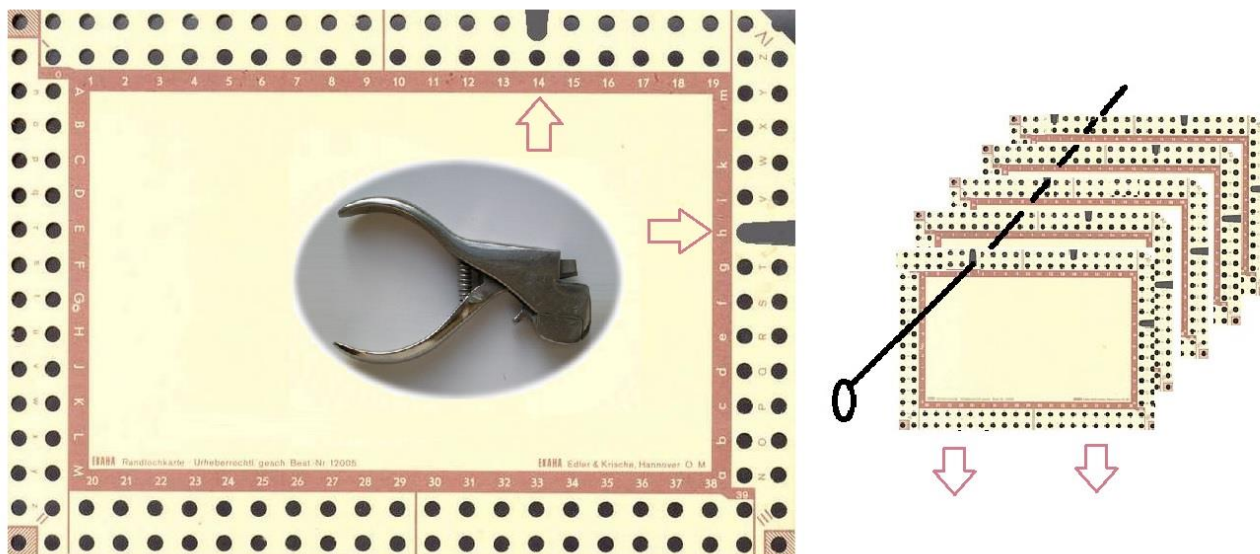
Póki co brak komputerów nie oznaczał braku małej mechanizacji! W latach 80. każde stanowisko w czytelnicy wyposażono w małą, czerwoną lampkę sygnalizacyjną. Gdy magazynier przyniósł zamówiony materiał, dyżurny ulubionym sygnałem (np. trzy długie mignięcia) dawał szczęśliwcowi znak, że może podejść po ich odbiór. Szczęśliwcowi, bo brak możliwości (jak to ma miejsce dziś) stwierdzenia przed zamówieniem, czy dany tytuł nie został wypożyczony, skutkowało tym, że statystycznie tylko połowa ze złożonych zamówień była realizowana. W oddziałach opracowania z czasem nie było już konieczne pisanie kilku kart głównych czy odsyłaczowych dla danego tytułu, bo wprowadzono ich kserowanie! Zrezygnowano tym samym z wcześniej stosowanego rozwiązania przyspieszającego proces opracowania, który stanowiło wycinanie opisów z bieżąco drukowanej bibliografii narodowej i naklejanie na karty katalogowe, co wymagało wyłącznie uzupełnienia karty sygnaturą. Dopiero później wprowadzono elektryczne maszyny do pisania<sup>1</sup>, a maszyna ze zmienną głowicą, pozwalająca na używanie np. znaków specjalnych, to już była zupełna rewelacja! Rodzi się tylko refleksja, że tak przygotowany katalog nie był narażony na utratę kart jednym niefortunnym uruchomieniem klawisza komputera, a w dodatku działał nawet, gdy nie było prądu, nie zawieszał się z powodu przeciążenia.

Choć tak szczerze powiedziawszy, rewelację stanowiły kartoteki kart obrzeźnie perforowanych używane w Oddziale Informacji Naukowej! Bez opisywania całego złożonego proceduru powiem krótko, że kupowaliśmy specjalne tekturowe karty, z wyciętymi wokół marginesów otworami. Gdy specjalnym urządzeniem wycięto kawałek tektury, zamieniając otwór w szparę, kodowano tym samym na-

---

<sup>1</sup> Niektóre modele miały opcję „zapamiętywania” ostatnio zapisanego krótkiego tekstu i ich „wydrukowania” – przydatne w wypadku drukowania kilku kart katalogowych przeznaczonych do różnych typów katalogów [przyj. red.].

niesioną ręcznie czy maszynowo na kartę treść. Tak przygotowane karty wprowadzano do urządzenia, które przy potrząsaniu pozwalało – dzięki specjalnym długim szpilkom odpowiednio umocowanym w urządzeniu – na wypadnięcie z niego poszukiwanych kart! Prymitywne? Ale powiem, że już w latach 70. w oparciu o ten system prowadzono różne kartoteki: sprawozdań z wyjazdów zagranicznych, rozpoczętych i zakończonych prac badawczych, publikacji pracowników, realizując tak modne dziś zadania wspierania uczelni!



Il. 1. Karta obrzeźnie perforowana z wycinakem oraz uproszczony schemat procesu selekcji kart<sup>2</sup>.

Autorzy ilustracji: Peter Frankfurt (*A notched card showing two levels of notching*, Public Domain), Susan Coan (*Hand tool for notching cards*, [CC BY-SA 3](#)), Katarzyna Kozak (kolaż wymienionych ilustracji, [CC BY-SA 3](#)).

Źródło: Edge-notched card. W: *Wikipedia* [online]. [Dostęp 30.01.2021]. Dostępny w: [https://en.wikipedia.org/wiki/Edge-notched\\_card](https://en.wikipedia.org/wiki/Edge-notched_card).

Pewne utrudnienia w pracy wprowadzał, niestety, funkcjonujący (lub nie!) ówczesny system telekomunikacji. Nie w każdym pokoju był aparat telefoniczny. Telefonistka obsługująca centralkę łączyła nas bez większych problemów z innymi numerami wewnętrznymi. Dodam dla jasności: wewnątrz gmachu, nie w całej uczelni! Jakim sukcesem stało się uzyskanie możliwości bezpośredniego (bez udziału wspomnianej telefonistki) połączenia „ze światem zewnętrznym” dzięki linii doprowadzonej do Oddziału Informacji Naukowej! Jego pracownicy byli wyraźnie uprzywilejowani. Połączenie zewnętrzne możliwe było nie tylko w wyniku wydolności tej ręcznej centrali, ale i zgody kierownika na przeprowadzenie rozmowy! Czekanie na rozmowę międzymiastową stanowiło natomiast doskonałą szkołę cierpliwości! Pozostawało więc wysyłanie pism zwykłą pocztą i czekanie kilka, kilkanaście dni na odpowiedź. Ktoś powie, dobrze że dziś tak nie jest!!! Pozwolę sobie zwrócić uwagę na jeden plus tej sytuacji: życie biegło spokojniej, nie napędzaliśmy się natychmiast otrzymaną na nasze pytanie

<sup>2</sup> Za pomocą nacięć płytkich i głębokich można było zakodować na karcie perforowanej niemal wszystko: nazwisko autora, tytuł, miejsce wydania, rok wydania, numer inwentarza, objętość, format, nakład, tematykę, klasyfikację UKD, a nawet... kolor okładki! Więcej o kartach obrzeźnie perforowanych m.in. w: GARBIEŃ T. Kartoteka selekcyjna na kartach obrzeźnie perforowanych dla książek w warunkach współczesnej biblioteki. *Poradnik Bibliotekarza* [online]. 1983, nr 10, s. 250-255. [Dostęp 30.01.2021]. Dostępny w: [http://pliki.sbp.pl/ac/2636\\_Por\\_Bibl\\_1983\\_10.pdf](http://pliki.sbp.pl/ac/2636_Por_Bibl_1983_10.pdf). [przyp. red.].

odpowiedzią, był czas na refleksje, przemyślenia, zastanowienie... Otrzymana odpowiedź była też taką, a nie na chybcika sklejonymi zdaniem, bo naszemu korespondentowi żadne urządzenie nie pikowało, nie dzwoniło, nie wskazywało, że musi zająć się kilkoma kolejnymi sprawami, które w tym czasie nadeszły.

Przyznam, że nie najlepiej szło nam wówczas z wypożyczeniami międzybibliotecznymi. Nie dlatego, że nie było katalogów centralnych! Były, choć nie obejmowały wielu materiałów. Istotne utrudnienie stanowiło składanie zamówienia dokonywane na tzw. rewersach okrężnych. Czytelnik nie wiedząc, która biblioteka może posiadać interesującą go pozycję, wypisywał rewers, wskazując sześć najbardziej prawdopodobnych adresów. Po kilku tygodniach często wracał niezrealizowany rewers, bo owo wskazanie było trafne jak w LOTTO i należało wypełnić kolejny rewers, typując następną szczęśliwą szóstkę.

Wypożyczanie międzybiblioteczne ważne było przede wszystkim w przypadku poszukiwania książek zagranicznych, szczególnie z tzw. KK (krajów kapitalistycznych). Zaopatrzenie naszych bibliotek w wydawane w nich książki było bowiem znacznie skromniejsze niż dziś. I nie wynikało to wyłącznie z braku środków dewizowych, ale i fizycznej niemożności ich zakupu w kraju, złożenia indywidualnego zamówienia w księgarni zagranicznej. Stąd wspomnienie tych gorączkowych, zaczynających się w marcu, trwających w kwietniu przygotowań do „wyprawy na Warszawę”, a dokładniej na majowe Międzynarodowe Targi Książki. Kto pierwszy dopadł do stanowiska i zamówił wyłożoną na nim książkę, mógł liczyć na to, iż stanie się po zakończeniu targów szczęśliwym jej posiadaczem. Mało kto z nas zwracał uwagę na to, że bardzo często wystawcy prezentowali nie nowości, lecz książki wydane 2–3 lata wcześniej. Ta niewiedza nie była tak przybijająca (bo jednak książkę z KK nabyłem) jak ta, ujawniona po wielu latach, że zanim książki trafiły na targi, były oglądane (nie zakładam, że czytane!) przez „właściwe organy”, które eliminowały publikacje niepożądane z powodu treści, nazwiska autora, miejsca wydania, opinii o wydawcy.

Jeszcze większy problem stanowiło zamówienie czasopisma. Nie wszystkie propozycje były w Warszawie akceptowane. Co gorsze, rzadko uzyskiwaliśmy na czas informacje, co zostało przyjęte, a co skreślone. „Puszczenie” naszego tytułu na listę krajową nie oznaczało jego zamówienia, bo o tym decydowały przydziały środków. Zdarzało się więc nierzadko, że w jednym roku czasopismo docierało, w drugim nie, w trzecim tak, w kolejnych nie... Wspominam o tym, aby młodzi adepci zawodu nie dziwili się, dlaczego mamy tak porwane ciągi tytułowe. I proszę nie pytać o winnych zaniedbania działań na rzecz uzupełniania tychże braków. Pojęcie ich uzupełniania praktycznie bowiem nie istniało.

Podjęto więc w kraju realizację pewnego pomysłu racjonalizatorskiego. Dbano o to, aby wybrane biblioteki były zaopatrywane w szczególnie ważne i poszukiwane tytuły, które to po otrzymaniu przenoszono na mikrofiszę i... sprzedawano zainteresowanym bibliotekom. Abstrahuję od dociekania, czy pytano wydawcę o zgodę na taką „działalność”. Dodam natomiast, że czytelnicy nie byli zachwyceni tymi erzacami, głównie z uwagi na konieczność korzystania z bardzo rachitycznych czytników. Pamiętam, gdy jako młody dyrektor zgłosiłem na posiedzeniu Rady Bibliotecznej pomysł na zwiększenie dostępności do czasopism zagranicznych, poprzez rezygnację z zakupu oryginałów na rzecz zakupu większej liczby tytułów w postaci mikrofisz, salwować musiałem się bez mała ucieczką z sali posiedzeń...



W znacznie szerszym niż dziś zakresie realizowaliśmy zadania dydaktyczne. Zarówno przysposobienie biblioteczne studentów pierwszych lat studiów, jak i z zakresu podstaw informacji naukowej realizowane dla studentów 3 lat, było obowiązkowe. Realizowane według ścisłego scenariusza trwały dla pierwszych 2 godziny, dla drugich 12, w przypadku studentów nauk ścisłych w pewnym okresie nawet 30 godzin w semestrze! Mam świadomość, że studiowało wówczas na całej uczelni 10–14 tys., a nie 45 tys. studentów. Mimo wszystko tłumy studentów wypełniały pomieszczenia biblioteki, krążyły jej korytarzami, aby poznać umiejscowienie katalogów, czytelni, wypożyczalni, wypożyczalni międzybibliotecznej. Nie zdarzało się, by student kończący studia „chwalił się”, że nigdy nie był w bibliotece... Nie spotykałem też wówczas – co zdarzało się w ostatnich latach – na 2 piętrze gmachu osób, które pytały się nie o to, gdzie tu jest czytelnia (to stanowi normę), ale... gdzie jest biblioteka!!! W takich chwilach zastanawiam się, czy obecne „studiowanie” w zaciszu domowym, oparte o fragmenty elektronicznych zasobów (wywołane pytaniem o szczegół, nazwisko, datę, frazę), można jeszcze nazwać studiowaniem czy wyłącznie surfowaniem na uczelni. Przy czym smutne jest to, że obecne zdalne kształcenie wybranych grup studentów nie przysposabia ich do wieloaspektowego przeszukiwania katalogów, baz danych... Brak pozytywnej odpowiedzi na prosto zadane pytanie zniechęca z reguły przed dalszym poszukiwaniem. Chyba ta nasza dydaktyka, realizowana nie zdalnie, a w gmachu biblioteki, przy zastosowaniu tablicy i kredy, przynosiła lepsze rezultaty...

Biblioteka nasza była częstym organizatorem konferencji. Trochę mnie dziwiło, dlaczego tytuły większości z nich zaczynały się słowem „Rola...”, jakbym pracował na uczelni rolniczej. Ale widocznie taki to był znak czasu, podobnie jak w przypadku konferencji organizowanych 2–3 dekady później, które obowiązkowo w tytule musiały zawierać słowo „komputer”, „komputeryzacja”, „skomputeryzowanie”. Przy czym wspominam z szacunkiem, że ówczesni referenci nie byli wyłącznie pomocnikami PowerPointa, dbającymi o prawidłowe wyświetlanie slajdów i odczytywanie znajdujących się na nich treści, ale prowadzili nierzadko ujmujące dla ucha i duszy wykłady. Z uśmiechem wspominam natomiast dbałość organizatorów o to, by zawsze obecny był na konferencji jeden uczestnik spoza Polski. Umożliwiało to bowiem, zgodnie z ówczesnymi przepisami, podanie na uroczystej kolacji lampki wina.

Tym, co łączy czasy przedkomputerowe z obecnymi była niezmiennie niska w stosunku do średniej krajowej płaca bibliotekarzy. Bez wątplenia w tej kwestii skomputeryzowanie biblioteki niewiele zmieniło. Pojawiła się co prawda skromna grupa nieobecnych uprzednio pracowników, zwanych „komputerowcami”, którzy o ile zostali zatrudnieni na stanowiskach informatyków, zarabiali więcej niż pozostali pracownicy biblioteki, bo według stawek uczelnianych dla tej grupy. Ale akceptowaliśmy to, wiedząc, że czasy się zmieniały i bez tych osób, trzymających nas w szachu (jednym palcem mogli bowiem zamknąć system, skasować zapis, bazę itp.) trudno jest bibliotece funkcjonować. Złośliwi powiedzą, że dziś to właśnie informatycy „rządzą” instytucją jako niezastąpieni specjaliści. Nie można jednak powiedzieć, że w czasach dawnych nie zatrudniano specjalistów, nie dbano o wykształcanie się na takowych pracowników instytucji. Jeszcze nie pracowałem w zawodzie, gdy właściwy dla nas minister wprowadził instytucję bibliotekarza dyplomowanego. Wiedział bowiem, że do pełnienia różnych funkcji, głównie informacyjnych, ale też związanych z kształtowaniem zasobów i naukowym ich opracowaniem, nie wystarczy wiedza uzyskana podczas studiów. Nie wystarczała ona także do bycia partnerem pracownika nauki, doktoranta, współpracy z nimi w dziele poszukiwania informacji i jej obróbki. Zmieniały się w ciągu lat zasady doprowadzające do ostatecznego uzyskania uprawnień bibliotekarza dyplomowanego, ale wszystkie one zawsze zakładały konieczność pogłębienia wiedzy

ogólnozawodowej, szczegółowej w ramach wybranej specjalizacji, uzyskania kompetencji językowych (prowadzenie początkowo części egzaminu w języku obcym, później uzyskania zaświadczenia czy certyfikatu), kompetencji komunikacyjnych, udziału w konferencjach i stażach, publikowania artykułów naukowych i fachowych, prowadzenia dydaktyki. Mam świadomość, że to nie skutek wprowadzenia komputeryzacji, ale braku świadomości co do wymagań stawianych współczesnym bibliotekarzom, kazał pewnemu ministrowi zderegulować nasz zawód, co oparto na założeniu, że jest to wyłącznie umiejętność warsztatowa, której nabywa się podglądając starszych pracowników. Narażę się być może, ale śmiem stwierdzić, że zatrudniamy dziś pewnie niemałą grupę specjalistów, biorąc pod uwagę zróżnicowanie wykształcenia kadry, ale bibliotekarzy czy pracowników informacji z prawdziwego zdarzenia jest wśród nich mniej niż kiedyś. A ci bibliotekarze przez duże „B” byli wówczas – jak i dziś – potrzebni do maksymalnie sprawnej obsługi potrzeb użytkowników. Nie wszyscy musimy być tacy jak zatrudniony w Bibliotece Uniwersyteckiej przed laty (nie pamiętam go niestety osobiście) Tadeusz Ziółkowski. Otóż poświęcał on czas urlopu na poznawanie katalogów innych bibliotek, głównie uniwersyteckich z Warszawy i Krakowa, aby pracując w dziale informacyjnym, móc wskazywać – w sytuacji braku u nas poszukiwanego dzieła – bibliotekę w kraju, która tę pozycję miała! Jeden wykształcony bibliotekarz, o kierunkowym przygotowaniu, był w stanie kompleksowo zaspokoić potrzeby informacyjne czytelnika. Trochę w tym świecie specjalizacji zaczynamy powtarzać wzór lecznictwa, w którym każdy lekarz jest specjalistą wyłącznie z wąskiego zakresu. Chcąc być zdiagnozowanym, muszę odbyć pielgrzymkę do wielu z nich...

Oczywiście, gdy wspominam przeszłych pracowników, przed oczyma staje mi obraz ówczesnego dress code'u! Obowiązkowe kitle, a w przypadku pań obsługujących wypożyczalnię na nogach bambosze z futerkiem. Droga odejścia od tego „urzędowego” stroju prowadziła przez likwidację bamboszy oraz zamianę kitli szarych i czarnych na zielone, bordo lub... kwieciste. No, Bogu dzięki, to już tylko wspomnienie!

Na koniec tych krótkich, luźnych refleksji jak to w dawnych czasach bywało, nie mogę z rozrzewnieniem nie wspomnieć zabaw karnawałowych, w czasie których do tańca przygrywał na akordeonie, cieszący się niezwykłym szacunkiem wszystkich pracowników, pracujący w magazynie Pan Teoś. Nie był konieczny catering z uznanej restauracji czy wyjazd do znanego ośrodka spa.

Smutna refleksja jest taka, że znacznie większym szacunkiem, zrozumieniem ich roli, cieszyli się w gremiach zarządzających uczelniami i bibliotekarze, i ogólnie sprawy biblioteczne. Już nie pamiętam tych czasów, kiedy nie było Rady Bibliotecznej, ale działała Komisja Senacka ds. Bibliotecznych, której przewodniczył rektor, a w skład której wchodził senatorzy wybierani przez senat. To im zdawał sprawę z działalności biblioteki jej dyrektor. O to, by w ogóle wchodził on w skład senatu walczyć wówczas nie musieliśmy, choć długo zabiegaliśmy (i z różnym rezultatem), by zasiadał w nim z głosem stanowiącym. Natomiast z nostalgią wspominam początek lat 80., kiedy to w senacie zasiadał obok dyrektora co prawda tylko jeden przedstawiciel naszej profesji, wybrany w czasie zebrania wszystkich bibliotekarzy, ale sześciu spośród nas wybranych zostało do pracy w różnych komisjach senackich. W czasie ich posiedzeń mogliśmy przedstawiać sprawy biblioteczne, orędownać za właściwymi z punktu widzenia biblioteki rozstrzygnięciami.

Potem pojawiły się komputery i mimo, że pierwszy z nich używany był właściwie jako maszyna do pisania, a rok 2000 rodził obawy, że cały system biblioteczny „dzięki” ich wprowadzeniu runie, z czasem wszystko się zmieniło...

Czy dawniej było lepiej, czy gorzej? Było po prostu inaczej! Adekwatnie do chwili, rozwoju naukowego uczelni, wyposażenia technologicznego biblioteki wykonywaliśmy przypisane nam zadania. Dziś zmieniła się uczelnia, wyzwania stawiane nauce i naukowcom, wyposażenie techniczne, technologie, co zmieniło nasze zadania lub sposób realizacji dotychczasowych. Dzisiejsi młodzi bibliotekarze za 40 lat, pracując w warunkach, jakie trudno dziś sobie wyobrazić, zapewne też z nostalgią wspominać będą czasy obecne, mówiąc przyszłemu pokoleniom, jak to dawniej w bibliotece bywało...